Kolekcja
Emila Kornasia

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
CZYTELNIA
w Opolu

Należytość pocztową uiszczono gotówką.

Nr. 68 Lwów, 15 Maja 1930 Rok VII

PANTEON POLSKI

Poświęcony Kronice Walk o Niepodległość, Bohaterstwu
Żołnierza Polskiego i Pamięci Poległych o Wolność Polski.

WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA POD REDAKCJĄ Z. ZYGMUNTOWICZA

Lwów-Skrytka 98. PKO. Warszawa 152.930. — Kwart. zł. 2.50. CENA EGZ. 1 ZŁ.

MAJ A.

Z Drugą Brygadą

Kwaterowaliśmy później w Parku Krakowskim w kręgielni. Nasze miejsce w Oleandrach zajął inny bataljon Legjonistów.

W Krzysztoforach stała kompanja Wiedeńczyków. Prawie sami Niemcy, nierozumiejący po polsku. Jednak do komendy polskiej szybko się przykładali. Dostali oni ładne umundurowanie i przydział jako komp. sztabowa.

W Krakowie wówczas był już stan oblężenia. Z prowincji do miasta nie wpuszczano nikogo poza zezwoleniem władz wojskowych. Za fortami wokoło sypano szańce. Po wsiach zaprowadzone były posterunki cywilne przy słupach telegraficznych, a wojskowe po torach kolejowych i mostach. W nocy miały być światła pogaszone w chałupach, w kościołach zabroniono dzwonić na Anioł Pański. Austrja obawiała się szpiegów na każdym kroku. Koleje obsługiwały przeważnie armje. Szły transporty wojska, głównie w kierunku frontu, to znów pociągi sanitarne.

Szpitale zapełniały się. Budynki szkolne zamieniano na szpitale.

Zbliżał się dzień naszego wyjazdu. Fasowaliśmy od austrjaków różne części mundurów. Otrzymaliśmy około ośmnaście płaszczy na całą kompanję, kilkanaście par butów, onuce, kilka koców ciężkich, no i opaski — dla wszystkich czarno-żółte, na rękawy, a do tego przywiązany był tytuł: c. k. pospolite ruszenie. Opaski czarno-żółte miały chronić legjonistów przed ewentualnem powieszeniem przez moskali, na wypadek dostania się do niewoli.

Koszta wyżywienia i żołd pokrywał Polski Skarb Wojskowy. Datki na Skarb płynęły obficie.

Duży procent legjonistów umundurował się własnym kosztem.

Mundury były niejednolite, niedostateczne na zbliżającą się zimę, zwłaszcza z braku płaszczy. Żołnierz jednak mało wtedy o tem myślał. Przeciwnie. Obawialiśmy się, że nim wyjedziemy na front, to wojna się wpierw skończy.

Dnia 29 września w nocy opuściliśmy Kraków na zawsze. Gdy słonko wschodziło, pociąg unosił nas już ku Węgrom. Jechaliśmy przez Skawinę, Wadowice, Bielsko i Cieszyn.

Nie byliśmy pewni, dokąd pojedziemy, spodziewaliśmy się pójść do Królestwa na front, za pierwszą brygadą, a raczej za pierwszym pułkiem, jak dotąd nazywano. Łatwo też uwierzyliśmy opowiadaniom, że jedziemy się ćwiczyć na Węgry. I znowu obawa, że nas nie chcą, a co zatem idzie, że nasza sprawa polska upadnie. Tak głowili się żołnierze. Zaś co myśleli oficerowie, nie wiem, gdyż ci w czasie podróży mało przebywali z nami.

W Koszycach pociąg miał dłuższy postój. Kompanje wysłały ludzi po zakup chleba do sklepów w mieście. Żołnierze przynieśli wieść, iż moskale przeszli Karpaty i są już na Węgrzech. Widzieliśmy w tem znów bliski koniec wojny.

W dalszej drodze uczyliśmy się ładować broń, rozbierać zamki i zakładać bagnety. Do śpiewu nie było ochoty. Na jakiejś stacji wyminął nas pociąg sanitarny z chorymi na czerwonkę i tyfus.

Kuchnie nasze gotowały i wydawały menaż tylko w czasie długich postojów. Wydawano ryż lub kawę.

Po trzech dniach stanęliśmy w Munkaczu. Tu, po zatrzymaniu pociągu, mieliśmy alarm. Wychodząc z wagonów, słyszeliśmy strzały. Kolejarze mówili, że to patrole kozackie podjeżdżają. Po dwóch godzinach alarm został odwołany, wsiedliśmy napowrót do wagonów. Pociąg ruszył dalej.

Podróż do Husztu trwała cztery dni. Nad ra-

nem 4 października dojechaliśmy do stacji, a około godziny ósmej wysiedliśmy. Poczem wyładowywano wozy i konie. Dowódca bataljonu i kompanijni posiadali wierzchowce.

Kompanje rozłożyły się wzdłuż toru kolejowego. Żołnierze ustawili w kozły broń i wkładali w próżne magazynki naboje, ze skrzyń przyniesionych. Potem kapitan Fabrycy robił przegląd kompanij, przemawiając między innemi:

„Odbieramy odcinek, — mówił on, — przeznaczyli nas tam, gdzie oni wytrzymać nie mogli. Mam nadzieję, że zhańbić się nie damy"...

Wieczorem wydano obiad. Potem wydano konserwy i suchary, jako żelazną porcję. Gdy się ściemniło, ruszyliśmy marszem ubezpieczonym do Dolhy. Marsz był uciążliwy, plecaki wypchane różnemi niepotrzebnemi rzeczami ciążyły niemożliwie. Posuwaliśmy się bardzo powoli. Ubezpieczenia boczne nie mogły nadążyć, bo ciągle musiały zawracać do drogi, z powodu przeszkód w terenie. Za całą noc uszliśmy około 11 klm. Zatrzymaliśmy się na skręcie drogi poza mostem rzeki Cissy. Posiadaliśmy na ziemi; kuchnie tymczasem gotowały herbatę z brudnej wody z rzeki. Po śniadaniu maszerowaliśmy — szybciej już — do tartaku w Dolha. Tam zakwaterowaliśmy się, a jedna kompanja poszła na placówki.

Sam tartak był wielkiem zabudowaniem. Stało tam dwanaście dużych gatrów, obok zaś były budynki mieszkalne.

Kompanję dwunastą objął chorąży Dziekanowski, w miejsce chorego podpor. Andrassego.

W komp. naszej było już dwóch chorych. Pierwszy zachorował na tyfus i pozostał w Krakowie, drugi na czerwonkę w Huszcie, ztąd odesłany został do szpitala. Kilku miało biegunkę, ale pozostali w kompanji.

Z tartaku po dwóch dniach kompanja nasza poszła na placówkę, na górę Kuk, wysoką 2.500 m. Podobno ukazywali się tam już moskale.

Ostatnia wioska pod tą górą nazywała się Suchobrońka. W tej wiosce pozostawiono placówkę dla strzeżenia tyłów. Do służby tej zostałem wyznaczony z siedmnastu ludźmi. Placówka została umieszczona w chałupie, przy drodze stały wedety, a bliżej jeden łącznik. Błędem było to, że placówka stanęła w chałupie, w której był młyn wodny. Szum spadającej wody zagłuszał wszystko. Przy wybieraniu miejsca na placówkę, uwagi na to nie zwrócono ze strony moich komendantów.

Po objęciu służby, upomniałem się o hasło. Chorąży Burda poradził sobie w ten sposób: Ja jestem oficerem inspekcyjnym — powiada — więc ustanowię hasło.

Hasło będzie: „korona".

— Korona. Dobrze. A odzew? — pytam. —

— Naco odzew?...

O służbie placówek miałem jakie takie pojęcie. Po wyjaśnieniu mojem ustanowiliśmy wkońcu odzew „Kraków" i pozostałem 36 godz. bez zmiany na placówce.

W nocy wedety nie przepuszczały absolutnie nikogo. Pouczyłem żołnierzy co do użycia hasła, na wypadek przybycia patroli austrjackiej, by z tego coś nie wynikło. W dzień legitymowaliśmy wszystkich przechodzących.

Ponieważ wielki śnieg opadł na górę Kuk, kompanja nasza została odwołana i zeszła do wsi. Placówka moja została zmieniona. Po dwudziestu czterech godzinach dostałem drugą placówkę. Wedety w nocy strzelały. Jednak był to alarm fałszywy, jak się później przekonaliśmy. Była to gorączka pierwszego spotkania się.

Nowy rozkaz odwołał nas na inne miejsce. Wracaliśmy do Husztu, a ztąd koleją jechaliśmy do Taraczkez. Na stacji w ogrodzie była duża kupa jabłek. Kolejarze raczyli żołnierzy jabłkami, lecz oficerowie zabraniali jeść, z obawy przed czerwonką. Również w marszach zakazywali wodę pić i siadać na mokrej ziemi.

Z Taraczkez maszerowaliśmy do Krasnego Sela. Marsz rozpoczęto po południu i trwał prawie całą noc. Odpoczynki były tylko pięciominutowe. Po kilku godzinach marszu byliśmy znużeni, a senność ogarniała wszystkich. Niektórych zaś tak dalece, że idąc spali, często potykali się na kamieniach, a czasem wpadali w rów przydrożny.

Około godziny czwartej nad ranem marsz stał się dalej niemożliwym. Część kompanji pogubiła się. Żołnierze siadali przy drodze i zasypiali. Nic pomogły nawoływania. Dowódca bataljonu przerwał marsz i zarządził dłuższy odpoczynek. Żołnierze, otulając się w koce lub celty, kładli się na ziemi i zasypiali. Niektórzy rozpalali ognie. Oficerowie z obnażonemi szablami pełnili warty na drodze.

Około godziny ósmej kucharze wydali śniadanie. Dostaliśmy po kieliszku rumu i porcję ryżu. Kompanja nasza posiadała kuchnię polową, inne kompanje ustawiały kotły na ziemi. To też w marszach gotować nie mogły. W czasie śniadania wyminął nas bataljon trzeci, trzeciego pułku, i zajął przed nami kwatery w Krasnem Sele. My zaś odmaszerowali do Domba. Tam mieliśmy dzień odpoczynku. Dnie były pogodne i ciepłe, a w nocy duże przymrózki. Na północnych stokach gór leżał śnieg.

W Dombie wyminął nas powtórnie bataljon trzeci 3 p. p. i zajął kwatery w Königsfeldzie. Bataljon nasz z braku miejsca w domach, wyminął Königsfeld i rozłożył się biwakiem na polanie obok drogi. Długie żerdzie z płotów i słupy poszły na ogień. Przy ogniskach brzmiał śpiew.

Dnia następnego odmaszerowaliśmy do Nemet

Mokra. Ztąd wysyłaliśmy placówki do leśniczówki i na górę Dil.

Kwaterowaliśmy u niemców kolonistów. Ludzie ci byli tak chciwi na pieniądze, że nawet kawałka drewna bez zapłaty nie dali, żądali odszkodowania za szyby, które przed naszem przybyciem były już rozbite.

W miarę im dalej oddalaliśmy się od stacji kolejowej, dowóz żywności stawał się trudniejszy. Dlatego potworzono etapy w Dombic i Königsfeldzie. Słabszych i chorowitych żołnierzy wybrano z kompanij, wysyłając ich do etapowych komp.

Po trzydniowym postoju, opuściliśmy Nemet-Mokrą. Żołnierze wówczas byli jakoś w dziwnym nastroju. Ktoś agitował, aby żołnierze masowo zgłaszali się do lekarzy, że będą wysyłani do superrewizji, że na front nie powinniśmy pójść itd.

Na politykowanie jednak nie było czasu. Dostaliśmy marszrutę przez Bruszturę do Holzschlaghauzu. W drodze spotkaliśmy ułanów legjonowych i bataljon węgierskiego landszturmu. Przed nami — znać było — szły inne bataljony Legjonów.

Droga teraz była bardzo licha, przecinana gęsto strumykiem, który płynął to z lewej, to znów z prawej strony. Drogi tej było przeszło 30 klm., która wreszcie kończyła się obok budynku drewnianego, u stóp góry, tak zwanego Holzschlaghauzem. Budynek służył za mieszkanie robotnikom zatrudnionym przy wyrębie drzewa w lesie. Obok zaś znajdowała się szkółka drzewek. Do tego miejsca przybyliśmy późną nocą. Ułożyliśmy się do snu w szkółce, a płoty poszły na ogień.

Nazajutrz skrzyczał nas zato pułkownik.

Z Holzschlaghausu wyruszyliśmy do przełęczy Pantyru; drogą, którą od kilkunastu dni budowali legjoniści przy pomocy kompanji roboczej pospolitego ruszenia.

Droga wiodła najpierw nad strumykiem, a dalej wężykowato zupełnie w górę. Powalono wysokie drzewa z konarami, zaciągano wiszące mosty, to znów do stoków góry przyczepiano długie tragarze, na których kładziono dyle z okrąglaków. Wszystko to gięło się i huśtało pod maszerującą kolumną. Nie było czasu na budowę lepszej drogi. Bataljony były już w drodze.

Gdy osiągnęliśmy szczyt góry, minęło już południe. Odpoczęliśmy.

Nadszedł pułkownik Zieliński z mapą, rozglądnął się, wreszcie zaczął objaśniać: „stoimy teraz na granicy Polski".

Potem dał rozkaz saperom postawić na tem miejscu krzyż. Na krzyżu umieszczono napis, ujęty w czterowiersz, który dawał świadectwo drogi Legjonów. Działo się to w dniu 19 października 1914 roku.

Po posileniu się konserwą i chlebem, ruszyliśmy żwawo w dół, do wsi Rafajłowej. Przed nami był już bataljon czwarty trzeciego pułku. Kompanja Załeskiego, z tegoż baonu, spędzając placówki rosyjskie, pierwsza zajęła wieś.

Kompanja nasza zakwaterowała w leśniczówce. Spaliśmy na strychu i w szopach na sianie. W przeciągu dwóch dni zgromadziła się w Rafajłowie cała II Brygada. Skład jej był następujący: ośm bataljonów piechoty, dwa szwadrony ułanów, jedna baterja armat górskich, dwie kompanje saperów, kompanja sztabowa, oddział sanitarny, pluton żandarmerji polowej, kilkunastu jeźdźców meldunkowych, tabor i podwody cywilne.

Całość z górą dziesięć tysięcy ludzi — pod dowództwem generała Durskiego. Szefem sztabu był kapitan Zagórski. Rotmistrzem żandarmerji polowej — Kunicki.

Kuchnie przybyły na trzeci dzień. Kuchnia naszej kompanji uległa rozbiciu w drodze do Pantyru. W przeciągu tych trzech dni brakowało nam żywności. Wieś była uboga, trudno było co kupić. Na całą komp. dostaliśmy dwa worki ziemniaków. Wypadło po sześć sztuk na żołnierza. Jedyny sklep, w którym była jeszcze mąka kukurudziana, żyd zamknął, a na drzwiach umieścił napis, że u niego panuje tyfus. Nic więc dziwnego, że na leśniczówce kogut przestał piać i gdzieś zaginęła kaczka. Ponieważ gosposia podnosiła lamenty, kapral Zając z jednym żołnierzem przeprowadził rewizję. Ale nic nie znaleźli. Zapomnieli zaglądnąć i do swych kociołków.

Żelazne porcje zjedzono przedtem już na górze Kuk. Powtórnie nie fasowaliśmy ich.

Kucharze w wypożyczonych kotłach pierwszy raz gotowali fasolę na trzeci dzień wieczorem. Ponieważ mieliśmy alarm, wydali nam tę fasolę na wpó surową. Poczem nastąpił odmarsz do Zielonej. Wysłano kilka patroli z komp. naszej w różnych kierunkach.

W dzień słychać było strzały karabinowe. W kompanji naszej żołnierz nie chciał uwierzyć w możliwość bitwy. Bo jak dotąd, to codziennie nam ją obiecywano.

Inne bataljony były już w potyczkach, my zaś dotąd żadnego moskala nie widzieliśmy. To też szydziliśmy z meldunków powracających patroli.

Gdy noc zapadła, pluton nasz udał się na placówkę do mostu na Bystrzycy. Hasła znów nie otrzymaliśmy. Przed mostem, na brzegu, rozłożyła się placówka, wedety stały po drugiej stronie, łącznik na pośrodku. Komendantem placówki był oficer, zastępcą komendanta byłem ja. Noc była ciemna, zimna, chwilami padał drobny deszcz. Oficer mówił mi, że jest chory, ma gorączkę i ból głowy. Czuwałem tedy, chodziłem do wedet, pilnowałem zmian. Zdarzyło się właśnie, że żołnierz na wedecie zemdlał. Gdy przyszedł do siebie, zluzować się nie dał, aż odstał swoją godzinę.

Około godziny jedenastej, w cieniach nocy zarysowało się coś przed oczyma wedet, a wnet dobiegł stuk kopyt końskich.

Gromkie „Stój! kto idzie?“

Biegnę do wedet, serce młotem mi wali. Przed wedetami stoi patrol ułański, o którym my nic nie wiedzieli. Czeka na zapytanie o hasło.

— No! pytajcie o hasło!...

— Hasła nie mamy... komendant załatwi... (Właśnie nadchodził oficer placówki, po którego pchnąłem łącznika).

— Dlaczego nas tu trzymacie, co tu za porządki? Moskale niespełna pół mili, a wy tu śpicie! gdzie komendant?

MATKOWSKI WŁADYSŁAW.

NA POLACH MOŁOTKOWA

Wśród tej piekielnej strzelaniny, która wryła się w pamięć na całe życie, zaczęły płonąć sporadycznie chaty wieśniacze, z rozmysłem zapalane granatami przez moskali. Jestto ich zwyczaj wojenny — jak mi to później moskal wyjaśnił, — jeżeli nieprzyjaciel atakuje ich nie w polu, lecz ukrywa się między domami. Zrobił się popłoch między dziatwą i kobietami z sąsiedztwa, bo wszyscy starali się dostać do piwnic pod domem. Tymczasem ogień karabinowy zbliżał się i gęstniał. a kule zaczęły sporadycznie uderzać o ściany i dach. Kilka razy opuszczałem piwnicę i na klęczkach przesuwałem się po pokojach, by zbadać co się dzieje na dworze. Legjoniści coraz skupiali się koło domu i poza naturalnemi osłonami, ostrzeliwując linję rosyjską, która zatrzymała się w trzech szeregach na jakich 500 kroków przed domem. Sadem przejeżdżał właśnie mjr. Roja wśród gradu kul i komenderował: Stać! nie cofać się! Strzelił nawet, zapewne dla postrachu, z rewolweru i pogalopował ku karczmie, gdzie najgęściej pękały szrapnele i to po kilka naraz.

Kiedym zbliżył się do werendy, upadł właśnie legjonista, trafiony kulą w nogę. Pomogłem mu wejść na kurytarz, gdzie scyzorykiem przeciąłem mu cholewkę, a panny opatrzyły mu szybko ranę. Kuli w nodze nie było, wyprowadziłem więc legjonistę, gdzie go towarzysze wzięli pod ramiona. Jemu bowiem i nam groziła niechybna śmierć, gdyby był pozostał w domu. Ranny powlókł się dalej o własnych siłach — czy ocalał. nie wiem.

Do godziny około czwartej szeregi naszych trzymały się uporczywie koło dworu, ale pomoc żadna nie nadchodziła, a natomiast moskale, którzy nacierali z flanki od wsi Hwozd, zaczęli zagrażać tyłom naszych. Wnet też szeregi się zachwiały i zaczęto się cofać szybciej — ale ciągle w porządku. W mgnieniu oka zwalili Mochy parkany obok domu, a w tyle za nimi płonęły już chaty wieśniacze i z szeregu wpadło trzech żołnierzy rosyjskich na korytarz. Zanim zdołaliśmy się zorjentować, którędy żołdacy wchodzą — wszystkie rzeczy z dwóch pokoji leżały już na podłodze, a wszystkie szafy były pootwierane i 80 k. zabranych. Zabrali pierścionki i obrączki pań, które się u nas schroniły i żądali srebra, złota, zegarków i pieniędzy. Tego wszystkiego nie było, a podane srebro stołowe porzucili i wyszli biegiem, by stanąć w tyraljerze. Tymczasem u drugiego wejścia do kuchni — dwaj inni żołnierze nagromadzili w przedsionku słomę, którą podpalili. Kobiety i dziatwa w panicznym strachu zaczęły wyskakiwać przez okno, otworzyłem więc drzwi i prosiłem, by pozwolili wyjść dzieciom. W odpowiedzi obaj skierowali do mnie bagnety i wrzasnęli: Zamykaj dwery, bo strilaju!

W jednej chwili gęsty dym zapełnił korytarz i kuchnię, a płomienie zaczęły lizać sufity. Mimo skrajnej rozpaczy, nie straciłem zimnej krwi, lecz z miejsca zabrałem się do ratowania. Wybiłem dwie szyby i zacząłem lać wodę na dach werandki i na podłogę, po której woda spływała po pod drzwi na płonącą słomę. Po kilku minutach żołnierze odstąpili do linji, tak, iż po kwandransie mogłem ogień zupełnie ugasić. Oszalowanie przepaliło się tylko do połowy.

Jeszcześmy nie ochłonęli z okropnych wrażeń, w domu przebytych, kiedy przez okno zobaczyłem ogromne słupy dymu, wydobywające się ze spodu stodoły, wypełnionej krescencją pod szczyt dachu. Wokoło stodoły i stajni, która także wnet płonąć zaczęła, snuło się mnóstwo piechoty, która uganiała od budynku do budynku, podpalając dachy.

W kilka minut była wieś tak spowita dymami, że z trudem można było drogą przechodzić, paliły się bowiem budynki po obu stronach drogi położone. Szczęściem służba była ukryta w suchej studni, na której stał rosyjski karabin maszynowy i skoro się moskale posunęli naprzód, wyszła z ukrycia i wypuściła bydło, które cały dzień nic nie jadło ani piło, z płonącej już stajni na pole, gdzie z głodu rzuciło się na tuje ogrodowe. Pięć krów porwali moskale ze sobą, a dwie spłonęły w stajni. bo były zabite kulami, które przeszły przez ścianę. Koń, którego nie zdołano spuścić, urwał się sam od żłobu, ale już mocno osmalony ogniem, tak, że

mięso wyzierało z popękanej skóry. Tymczasem pożoga opromieniała łunami całą okolicę i widno było jak we dnie.

Przez całą noc szły oddziały wojsk rosyjskich i kilka armat; naliczyć zdołałem 12. Sanitarjusze uprzątywali rannych i grzebali zabitych, tak, że we wsi nikt i później nie wiedział, ilu ich u nas padło. Wyczerpani przejściami, apatyczni i zrezygnowani, ułożyliśmy się do koniecznego snu tej pamiętnej na całe życie nocy. Łuny płonących wciąż domów już nie robiły na nas wrażenia po doznanych wstrząsach, a Jutro gotowało nam nowe.

30 października. Nocą padał deszcz, a dzień wstał przysłonięty mgłą, którą powiększały dymy z dopalających się budynków. Podpalone bowiem zostały: stodoła, szopa, karczma i kuźnia; a od nich zajęły się trzy inne siąsiadujące budynki. Wygłodzone bydło i konie włóczyły się smętne i wyzbierywały resztki zaabłoconego siana i słomy, pozostałe po terenie wojskowym. Kozacy i sanitarjusze uwijali się po wsi, wyszukując schroniska dla rannych. Pierwszych znoszono do probostwa, a około 10-ej przyszli do nas lekarz i komendant sanitarny, zarządzając, by dwa pokoje uprzątnąć z mebli i przygotować dla rannych, pozostałych przez noc na polu. Po ich odejściu wyszedłem na podwórze i zobaczyłem jakiś oddział wojskowy wśród mgły i dymów zmierzający ku mnie z karabinami przewieszonymi po myśliwsku. Szli dwójkami. Byłem pewny, że to Moskale, których liczne oddziały przechodziły drogą ku Nadwórnie, jak również ku Sołotwinie. Ku memu osłupieniu stanął przedemną kapitan Walewski na czele całej kompanji. Byli bardzo zmęczeni i utrudzeni marszem, by się wydostać z pomiędzy zewsząd otaczających ich moskali. Jakim cudem zdołali się nienagabywani prześliznąć, nie miałem czasu się dopytywać, bo każdej chwili mogły nadjechać rosyjskie fury z rannymi, dość, że nie zostali w mgle i dymach przez snujące się wojska rosyjskie zauważeni. Niebieskie mundury były dla nich w danych okolicznościach zbawieniem... Skierowałem ich poza dom na polną drożynę ku lasowi i radziłem, zachowując ostrożność, kierować się na Bitków, a może uda im się wydostać z matni. Przez jakiś czas nadsłuchiwałem, czy w lesie nie padają strzały, ale nie było żadnych z tej strony słychać — musieli tedy przedostać się szczęśliwie do swoich.

Przez parę godzin rannych grały karabiny i armaty pod Nadwórną, gdzie prawdopodobnie moskale napierali na cofające się ku Pasiecznej legjony. Około 10-ej wkroczyli rosjanie zapewne do miasta, bo odtąd wszelka łączność z Nadwórną ustała. Około południa zaczęły wojska rosyjskie zwozić rannych, najpierw swoich, a potem naszych. Zapełniło się nimi trzy pokoje, pięciu zaś naszych wziąłem do swego pokoju. Późniaka, podchorążego, umieściłem na piątrze w jednym pokoju, a 18 lżej rannych w drugim. Wszystkich było 54, w tem 9 czy 11 moskali, z których trzech zmarło zaraz. Opieka lekarska rosyjska była marna. Ranni czekali bez jadła na opatrunek do wieczora. Zapasów żadnych nie było, gotowaliśmy więc herbatę, a ciężko rannym odstąpiliśmy swój obiad i te resztki mleka, które po spaleniu obory pozostały. Leżeli wszyscy na podłodze i ciężko ranny moskal dygotał z gorączki, gdy tuż obok niego dwaj legjoniści, jęcząc bełkotali niezrozumiałe słowa. Obaj bowiem mieli strzaskane szczęki i podniesioną kość twarzową. Ci nieszczęśliwi nawet z płynów nie mogli korzystać, bo wszystko się z ust wylewało. Cuchnęli okropnie, bo krew niezmyta na twarzy, szyji i ubraniu, rozkładała się, zwłaszcza, że leżeli w polu 20 kilka godzin w mgle i zimnie na mokrej ziemi. Podziwiałem wytrzymałość tej młodzieży, gdyż na 54 rannych żaden nie jęczał — jeno gdzie niegdzie stęknął. Niektórzy, woskowo bladzi, modlili się. Młodziutki jakiś legjonista mógł leżeć tylko na plecach, bo miał obie nogi złamane, a ręce trzymał wzniesione. Leżał tak od 50 godzin niczaopatrzony. Pytałem się go, czy nie ulżyć mu podpórkami w leżeniu — podziękował i prosił o lekarza tylko, a tego wcale nie było, bo był tylko sam na cały pułk.

Jak wspomniałem, pięciu wziąłem do swego pokoju, z pomiędzy których dwóch było z armji austrjackiej, a to Gajewski, abiturjent, landwerzysta ze Stanisławowa — lekka rana postrzałowa w głowę — i Soszka, nauczyciel z Buczacza, z kulą w kości siedzeniowej. Obok niego na materacach leżał legjonista Ciszka z Bochni, z nogą strzaskaną od kuli. Podziwiałem jego hart. Nogi tknąć nie można było, a mimo to nie tracił humoru. Na sofie leżał legjonista Fronczek z Bochni, z przestrzelonem udem, na ziemi zaś przy Gajewskim, Adam Obratschaj, medyk z Krakowa, z przestzelonemi mięśniami u prawej ręki. Wszyscy byli weseli i jedna tylko myśl zatruwała dolę: co się z nimi stanie w niewoli? Czy moskale nie powieszą ich — jak to ciągle głosili, czy też będą ich traktowali jak żołnierzy, wziętych do niewoli? Za kogo mają się podawać, czy za sokołów — jak kozacy legjonistów nazywali, — czy za landszturmistów?

Pocieszałem, jak umiałem i radziłem podawać, że są żołnierzami c. k. Komendy Legjonów. Obchodziłem wszystkich rannych i służyłem czem było potrzeba, podczas gdy panienki roznosiły mleko i herbatę. Nad wieczorem przyszli dwaj lekarze i różni komendanci konwojów. Opatrunków nie zakładano, bo lekarz nie miał bandaży, ni waty. Mieli tego nieco przy wozach i to zużyto dla swoich rannych. Tymczasem lekarze poprosili o jakiekolwiek jedzenie, zaraz też przygotowano je i to nam na dobre wyszło, bo lekarz pułkowy

ostrzegł nas przed oficerami kozackimi i kazał się zbudzić, gdyby nocą dom naszli.

Na nocleg poszli do probostwa, bo u nas nie było miejsca.

Zapomniałem wyżej wyjaśnić, że pomiędzy rannymi lekko był żołnierz z frontu serbskiego, pochodził z Krakowa, był ranny, w rękę i szedł ze Serbji trzy tygodnie piechotą i po drodze ręka na temblaku się wygoiła, a wpadł w ręce moskali w Nadwórnie, którzy go przyłączyli do rannych, a że jest w mundurze strzeleckim, wyjaśniał dalej, bo zdarłszy swój mundur, przebrał się na pobojowisku.

31 października. Nad ranem zmarło trzech moskali, a inni wraz z naszymi dalej wyczekiwali opatrunku. Na śniadanie wydano panienkom nieco herbaty, którą zaparzyły, a sanitarjusze rozdali po kawałku cukru. Widocznie nie rozporządzali żywnością. Od strony wsi Hwozd słyszeć się dały strzały armatnie, które o 10-ej ucichły. Zdaje się, że wozy ambulansowe i lekarze zostali tam wezwani. Na obiad zgotowaali sanitarjusze dla rannych baniak ziemniaków na wodzie i rozdzielono je chorym. Naszych pokryjomo wzmocniliśmy winem i rosołem. Z każdą lampką wina musiałem się czajić, by nie sprowadzić sobie na kark sanitarjuszy. Ponadto trzeba było pamiętać o rannych i ukrywających się po chłopskich chatach. Kobiety wiejskie poukrywały w czasie bitwy rannych i przychodziły dla nich po opatrunki i jadło. Jedną z takich była Anna Iwasyk, której zdarzenie zapisuję na chlubę naszej ludności. W czasie czwartkowej bitwy, która przeszła i obok jej płonącej chaty, schroniła się przerażona kobieta z dziećmi i krowiną do pobliskiego parowu, gdzie leżał ranny strzelec. Ten, zoczywszy chłopkę, był pewny, że go wyda moskalom. Anna przytuliła dzieci do niego i trzymając powróz z krową, okryła rannego wraz z dziatwą kożuchem. To proste opowiadanie wieśniaczki, która nie zdawała sobie sprawy ze swego serdecznego i istotnie samarytańskiego odruchu, rozrzewniło nasze panny, które wydały jej opatrunek i jadło dla rannego legjonisty. Przy przeszukiwaniu pobojowiska i chat przyległych a niespalonych zupełnie, natrafili moskale i na tego rannego, którego zabrali. W chwilę potem przyszedł jakiś „starszyj" i zawiadomił, że wnet będą rannych zabierać na wozy, dla przewiezienia ich do Stanisławowa.

Uprzedziłem rannych, by się przygotowali do drogi, a za godzinę przyszli lekarze, i zaczęli dopiero w sobotę (bitwa była w czwartek) opatrywać ciężko rannych, by można ich było przenieść do ambulansów. Wszyscy inni jechali chłopskimi wozami. Olbrzymi konwój otwierał oddział naszych jeńców, pomiędzy którymi byli także chłopi i żydzi — ogółem naliczyłem 384 ludzi. Za nimi szły wozy Czerwonego Krzyża i furmanki, razem około 30 wozów. Cała ta bolesna pielgrzymka skierowała się do Sołotwiny, by przez Bohorodczany podążyć do Stanisławowa, a towarzyszyła im mgła i przejmujące wilgotne zimno.

Zaraz też zabraliśmy się do porządkowania domu, bo fetor kozacki, a nadewszystko odór zepsutej krwi, który edurzał i wywoływał mdłości, tkwiły w pokojach i na kurytarzach, jakby zawieszone. Odetchnęliśmy dopiero, kiedy ostatnie pokrwawione szmaty, bandaże i wata zostały wymiecione, a dom przewietrzony. Żal jeno było tylu rannych i tylu zdrowych, którzy dostali się do niewoli rosyjskiej, której się tak obawiali.

1 listopada 1914. Po wsi snują się kozacy i sanitarjusze, spędzając ludzi do grzebania zabitych. Pochowano naszych, wedle zebranych od ludzi danych, 111, i dodatkowo 10 moskali. Ilu ich padło, rzeczywiście, nikt nie może podać, bo moskale sami swoich grzebali i nie pozwalali ludziom wiejskim nawet zbliżać się do grobów. Odszukano jeszcze kilku rannych, których umieszczono narazie na probostwie. Patrole kozackie przeciągają aż do Sołotwiny, gdzie zniszczono kilka sklepów i zabrano kilku żydów jako zakładników.

Już trzeci raz przychodzi kobieta ze wsi, Fedorycha Wowczuk, wywołuje mnie na dwór i mówi, że jakiś pan chce się ze mną widzieć. Zbyłem ją dwa razy, że nie mogę się widzieć, bo dom jest pełny rannych i wszędzie snują się moskale. Dziś znowu się zjawiła i domagała się widzenia. Oznaczyłem 5-tą godz. wieczorem, kiedy zmrok zapadnie. Wieczorem przyszedł chłop w krypciach i kożuchu, w którym poznałem kapitana Bolesława Zaleskiego. Od bitwy ukrywał się w chacie Fedora Wowczuka na skraju wschodnim wsi, niedaleko od jaru, zwanego Ropsza. Chciał się przedostać do swoich, lecz odradziłem, bo musimy najpierw zbadać teren i wejść w kontakt z Bitkowem. Na razie przebrałem kapitana w różne zebrane rzeczy, pozostałe po bratanku, który po wysłużeniu we wrześniu jednego roku, poszedł jako inżynier górniczy na wojnę. W jego to młodzieńcze i letnie szaty przebrałem słusznego i dorosłego mężczyznę. Można sobie wyobrazić, jak wyglądał — jak straszak na wróble. Miał grać rolę oficjalisty.

A teraz posłuchajmy jego opowiadanie: „W czwartkowej bitwie dowodziłem bataljonem w zastępstwie Kozickiego. Miałem rozkaz obsadzić dolną część góry Bzowacz - Diłok graniczącą z Hwozdem, i bronić jej do upadłego. Odpierałem ataki, ale w międzyczasie moskale posunęli się do wsi Mołotków i obszedłszy Bzowacz, zaszli mi na flankę od strony Hwozda. Byłem odcięty od swoich, a rozkazu cofania się nie było. Wytrwałem do nocy i przy łunie palących się domów w Mołotko-

wie, zeszedłem polem z kilku oddziałami ku drodze Mołotków-Hwozd. Szedł ze mną adjutant Halka i kapitan Walewski. Kiedy zbliżyliśmy się do pierwszych chałup przy tej drodze, przeciągał tren, a w tyle maszerował oddział piechoty. Halka, którego nerwy były rozstrzęsione, zasłyszał niby mowę niemiecką. „To nasi", zawołał i podszedł bliżej. „Halt! wer da?", zawołałem. Odpowiedziano mi: „my, a kto wy?". Odpowiedziałem: „Swoi". „A, palaczki!", zarechotali mochy. Tymczasem przez mgłę zobaczyłem, że to nieprzyjaciel i rozkazałem pośpiesznie się cofać w ciemności i zebrać się na Bzowaczu. Sam zaś odezwałem się do moskali, by nie strzelali, bo zaraz się poddamy, tylko komendant nadejdzie. W odpowiedzi gruchnęły trzy salwy. Chyłkiem zaczęliśmy uciekać, a Halka z czteroma nie usłuchał rozkazu i parlamentował dalej. Straciłem kontakt ze swoimi i po omacku biegnąc i upadając po wadołach, doszedłem do jakiegoś głębokiego jaru. Osunąłem się na spód jaru i zrobiłem sobie papierosa. Teraz zaczęło się poszukiwanie zapałka. W kieszonce kamizelki znalazłem jeden jedyny... grecki. Otuliłem go jak świętość, by mej kryjówki nie zdradził i potarłem. Nie zastanawiając się nad grozą położenia, zapaliłem papierosa i z lubością wciągnąłem dym tytoniu, a jakiej rozkoszy doznałem, opisać nie zdołam. Moskale tymczasem nie ścigali nas i odeszli swoją drogą. Skoro się uciszyło — zacząłem przemyśliwać, jakby się do wsi dostać. Wydrapałem się z parowu i zacząłem iść, kierując się łuną, bo we dnie widziałem, że wieś płonie w okolicy dworu. Niedługo zamajaczyła przedemną pierwsza chata. Przy progu stały dwa konie, żrąc siano i pochrapując. Ominąłem je i podszedłem do drugiej chaty. Zapukałem — nikt się nie odezwał. Powtórzyłem pukanie — znowu cisza. Pocisnąłem drzwi — były niezamknięte, wszedłem więc i po ciemku zacząłem obmacywać przedmioty. Namacałem ławę, stół, a potem tapczan, ale nigdzie żywej duszy. Z uczuciem ulgi wlazłem na tapczan i syt wrażeń, a djabelnie znużony, usnąłem. Kiedy się rano obudziłem, stała nademną przerażona kobieta. „Schowaj mnie, kobieto, a ozłocę cię!" — przemówiłem błagalnie do Fedorychy, bo ona to była — ten mój posłaniec dzisiejszy. Wskazała mi strych. Wlazłem tedy między okloty i przesiedziałem do południa. „Złazit pane z poda — zawołała szeptem — bo moskali chodiat po chatach"... Zlazłem, ale mnie gniewało, że baba mną komenderuje, bo nie zdawałem sobie sprawy, jakie jej i jej domowi groziło niebezpieczeństwo, zwłaszcza, że kozacy i sanitarjusze snuli się po podwórzu i sąsiednich chatach. Przebrałem się więc na prędce za jej porada w chłopską odzież od stóp do głowy i zacząłem udawać schorzałego starca. Ja wasz dziadek — powiecie kozakom. Tak przetrwałem szczęśliwie, mimo, że moskale byli kilka razy pod chatą, aż do niedzieli. W ten dzień posłałem po raz trzeci do dworu o radę i pomoc. Pan polecił przyprowadzić mnie dziś wieczorem. Przyszedłem i przebrał mnie pan na oficjalistę, lecz ciągle czuję grożące mnie i wam niebezpieczeństwo, gdyby Fedorycha się przed sąsiadami wygadała, tembardziej, że kozacy ogłosili, iż ktoby ukrywał „sokolików", tego chata będzie spaloną; a wszak patrol kozacki usadowił się na stałe w plebanji, oddalonej o dwieście metrów od dworu".

Akademicy w starciu z policją austr. w r. 1878.

Przed pół wiekiem odgrywali polscy posłowie wybitną rolę w parlamencie wiedeńskim, zwłaszcza obok innych Franciszek Smolka, więzień stanu z r. 1845, skazany na karę śmierci, lecz ułaskawiony, później długoletni poseł, prezydent Rady Państwa, twórca Kopca Unji Lubelskiej we Lwowie, jeden z najznakomitszych i najpopularniejszych mężów stanu w całem państwie.

Drugim działającym na niwie parlamentarnej był Otto Hausner, poseł do Rady Państwa i Sejmu Krajowego, niepospolity i ceniony wysoko mówca.

Dzielne wystąpienie tego ostatniego w obronie względnie roszczeniu praw społeczeństwa polskiego, płomienna mowa, wygłoszona w listopadzie 1878 r. w Radzie Państwa, wywołały wrzenie wśród patrjotycznych zgromadzeń i przygotowań do demonstracyjnego pochodu z pochodniami, jakim postanowili rodacy we Lwowie dać Hausnerowi wyraz uznania całego narodu i uczcić wybitnego przedstawiciela swego.

Centralne władze państwowe w Wiedniu sprzeciwiły się tej manifestacji, a gdy gorętsza część patrjotów Lwowa i krewka młodzież akademicka postanowili, mimo zakazu, wykonać swój zamiar, przyszło do krwawego starcia z policją. Młodzież, krocząca z pochodniami w dłoni, zepchnęła zastępujący jej drogę kordon żołnierzy policyjnych przy ul. Akademickiej do rowu niezasklepionej jeszcze wówczas Pełtwi. Żołnierze policyjni dobyli szabli, któremi płazowali, a także rębali uczestników pochodu.

Wśród szeregu ofiar znalazł się, jako najbardziej pokaleczony, 65-letni emerytowany dyrektor cukrowarni z Rytużan obok Staszowa, Tomasz *Chołodecki*, który kroczył bez pochodni wśród licznego grona manifestantów.

Dziwna to, zaprawdę, była postać.

Już jako uczeń retoryki w gimnazjum OO. Jezuitów w Tarnopolu, wstąpił po wybuchu powstania listopadowego do 2-go pułku ułanów korpusu gen. Józefa Dwernickiego i brał udział we wszystkich bitwach, od Stoczka aż do Boremli, gdzie ranny popadł w niewolę moskiewską.

Po powrocie do kraju, gdy utracił prawo do dalszych studjów w publicznych szkołach, poświęcił się praktyce na polu gospodarczem, pracował atoli i nadal w tajnych związkach i sprzysiężeniach, zrazu przy boku Roberta Chmielewskiego, później przy boku Teofila Wiśniowskiego, z którym odbył w r. 1846 znaną wyprawę na Narajów, jako komendant jednej z rot.

Uwięziony przez władze austrjackie, został razem z Wiśniowskim skazany w pierwszej instancji na karę śmierci, zamienioną później na karę 15 lat więzienia w berneńskiej fortecy Spielbergu. Rewolucja i amnestja z r. 1848 otworzyła mu wrota kazamat.

Wybuch powstania styczniowego zastał go znów w łonie tajnego sprzysiężenia, a dzień 17 lutego 1863 r., w czasie bitwy dyktatora Marjana Langewicza pod Staszowem, w szeregu walczących młodych rodaków.

Przeszedłszy w stan spoczynku, przeniósł się Chołodecki do Lwowa, gdzie otrzymał dodatkowo do poborów emerytalnych, posadę w miejskiej kontroli opłat akcyzowych i gdzie padł ofiarą opisanego starcia akademików z policją.

Oględziny sądowo-lekarskie stwierdziły w dn. 22 listopada 1878 r. trzy potężne rany od ostrza szabli, zarazem szkodliwe skutki doznanych obrażeń.

Nie odzyskał Chołodecki więcej utraconego zdrowia, opadał z sił, a w dniu 17 lipca r. 1880 pokryła mogiła na cmentarzu łyczakowskim zwłoki weterana-konspiratora, który oszczędzony tylekrotnie wśród walk orężnych przez wraże kule, uwolniony od sądowego wyroku śmierci, zginął z rąk austrjackiego żołnierza policyjnego.

Tomasz Chołodecki był stryjem sędziwego dziś literata J. B. Chołodeckiego, którego historyczne artykuły znajdują czytelnicy także w łamach „Panteonu Polskiego".

* * *

Z powodu dopuszczenia do demonstracji i starcia z policją czyniono wiele zarzutów, między innymi Oswaldowi Bartmańskiemu, ówczesnemu zastępcy nieobecnego chwilowo namiestnika Alfreda hr. Potockiego, i pełniącemu w krytycznej chwili służbę koncepiście Ryszardowi Cossie.

Cossa był potomkiem spolonizowanej rodziny włoskiej, która od czasu rozbioru Polski dostarczała dla Galicji państwowych urzędników. W pierwszych latach XIX. stulecia był Piotr Cossa, w połowie tegoż stulecia byli Ludwik i Adolf, później zaś Wilhelm Cossa, urzędnikami skarbowymi, Emil Cossa cenionym radcą Magistratu lwowskiego. Ryszard zaś — jak nadmieniliśmy — urzędnikiem politycznym. Po opisanym incydencie przeniesiono go ze Lwowa do Wiednia, gdzie zakończył życie jako radca ministerjalny.

Wdowa, Marja z domu Riedlów, lwowianka, mieszka obecnie stale we Wiedniu i tutaj pracuje gorliwie i wydatnie w gronie stowarzyszeń polskiego społeczeństwa, a ponadto zasila polskie i niemieckie czasopisma, również i „Panteon Polski", nader udatnemi utworami wiązanego słowa.

W. Ć.

RAFAŁ HIRSCH
weteran 1863 r.

Wspomnienia z 1863 r.

Wśród rozmowy dojechaliśmy pod jakieś zabudowania dworskie. Po dłuższej chwili znaleźliśmy się na majdanie; przyjął nas rządca, któremu opowiedziałem o położeniu naszego rozbitego oddziału, obozującego w lesie i prosiłem o jadło dla ludzi i furaż dla koni, a także o wskazanie nam kierunku do Galicji.

— Właśnie — powiada rządca — otrzymałem wiadomość, że przed południem ma tu przyjść na kwaterę szwadron dragonów, na jak długo — nie wiem. Cóż mogę poradzić? Zboża nie mam, zabrali Moskale wraz z końmi, słoniny również nie mam, co zbiorę lub żona znajdzie, przywiezie mój karbowy do obozu waszego.

Rad i z tego — wskazałem karbowemu drogę do naszego legowiska w lesie i skierowaliśmy się z powrotem do naszych.

Nie ujechaliśmy jeszcze parę kroków, gdy zdala ukazało się kilku jeźdców, poznaliśmy kozaków, więc już nie do naszych — ale wprost w las skoczyliśmy co koń ponieść mógł. Padły strzały; wnet jednak ukryły nas gęstwiny leśne. Ocaleliśmy.

Przeszła noc; nad ranem dalej w drogę, ujrzeliśmy jakąś chatę wieśniaczą, podjechałem i dowiedziałem się, że Moskale kwaterują we dworze.

Znów w lesie szukamy drogę wyjścia, jakiś chłopak znalazł się po drodze; chciał nas zaprowadzić do dworu, nie znając terenu, prosiliśmy go, by powiadomił kogoś we dworze o naszym pobycie w lesie — chłop poszedł, a myśmy czekali. Lecz śpiewy kozackie, które nas doszły ze dworu, odebrały nam ochotę do dalszego czekania i puściliśmy się w dalszą tułaczkę.

Kilkakrotnie musieliśmy uciekać z wybranej drogi, gdyż wszędzie włóczyły się patrole kozackie.

Aż dnia jednego natrafiliśmy na kilku chłopów i jednego żyda, którzy przygotowywali w lesie wicie do pontonów.

Przyjęli nas do siebie, ogrzali przy ognisku, nakarmili i na drugi dzień jeden z nich odprowadził nas do dworu pobliskiego.

Zrobiliśmy mil kilka i wjechać mieliśmy do wsi, gdy wtem ponad wierzchołki niewysokich drzew ujrzeliśmy jakiś dach budynku.

Świstem wezwaliśmy naszego przewodnika, wskazaliśmy ten dach i wysadziliśmy go na konia, by mógł lepiej oglądnąć. Stropił się on nie mało i powiada — ja tu w tych stronach już ze dwadzieścia lat co roku chodzę na „odpust", bo tu jest kościół i cudowny obraz Matki Boskiej, ale ja tego budynku nie widziałem i nie wiem, co to za obejście.

Podjechaliśmy aż pod sam duży drewniany budynek, ogrodzony płotem, obok tego budynku leży duża kupa pniaków, a dość obszerna brama budynku jest otwarta.

Na placyku przed tą bramą stoi naładowany wóz długi, przy dyszlu wozu zaprzęrzonych w szorki dwa ładne konie, a przy wozie przywiązanych do drabin, pięknych, derkami okrytych, cztery koni. W budynku ktoś stuka, jakby siekierą.

Podjechaliśmy bliżej, a wnet wyszedł nasz przewodnik i uśmiechał się. Obok niego stał chłop rosły z bokobrodami, w kurtce liberyjnej i chłopak wyrostek.

— Proszę — mówi „groman" — proszę, niechaj panowie objadą płot, z tamtej strony są wrota otwarte.

Dowiadujemy się, że budynek ten jest „maziarnią" — że moskale zabierają po dworach stajenne konie, że pan hrabia wysłał tu jego i cztery klacze, „matki" arabki — że tu jak długo jest powstanie, moskiewska noga w maziarni nie była, tu mają się klacze przechowywać, a ja mam na wozie owies, słomę i siano, teraz przybijam żłób dla koni.

Jak już wszystko było sporządzone, wprowadziliśmy konie do stajni i ustawiliśmy przy żłobie. Chłopak wozem zawrócił i ma odjechać do dworu. Starszy daje polecenie, by zaraz powiedział panu hrabiemu, że przyjechało tu dwóch powstańców i żeby przywiózł dla wszystkich coś do jedzenia.

Napisałem od nas słów kilka, a nie trwało godziny — lotnymi konikami nadpędziły kozyrki, powożone przez panicza, młodego chłopaka. Po wzajemnem poznaniu się, na skinienie młodego pana wyciągnięto z kozyrek kosz, rozpostarto kawał serwety, a młody pan wyciągnął flaszkę i napełniwszy kielich spory, przepił do nas.

Na obrusku spoczywała już cała szynka wieprzowa, bochen białego chleba, a powierzchnia jego rumiana wabiła, litrowa flaszka gdańskiej wódki, pleskań seru z kminkiem i pudełko 100 szt. papierosów. Odłożyłem jedzenie na później, a zabraliśmy się do studjowania mapy i z punktu obserwacyjnego odszkicowaliśmy na wypadek aż cztery promienie szlaków dróg, dążących do naszego celu.

Otrzymałem także dziesięć rubli drobnemi Potem przyrzekł nam młody obywatel przysłać na koniu przewodnika, który nas bezpieczną drogą zaprowadzi do drugiego dworu. Do austrjackiej granicy jest stąd jeszcze około szesnaście mil austrjackich.

Po odjeździe „panicza", pierwszą moją czynnością było otrzymanemi dziesięcioma rublami się podzielić. Maciejowskiemu dałem z tego cztery rubli, sobie zatrzymałem cztery, a rubli dwa dałem przewodnikowi, lecz ten rubli przyjąć się wzbraniał i mówi do mnie: dopiero jutro wezmę, dzisiaj już przenocuję z panami, bym nic nie miał na sumieniu i widział sam jak szczęśliwie panowie stąd wyjadą w dalszą drogę. Tacy to byli nasi chłopkowie. Teraz swobodnie zabraliśmy się do spożywania bożych darów.

Późno w nocy — usnęliśmy.

Nie wiem, jak długo już spałem, gdy zbudził mię niezwykły ruch obok budynku. Jakiś szczęk pałaszy, pluskanie koni i gwałtowne dobijanie się do bramy.

— Zapewne kozacy! — przeszło nam po myśli.

Lecz wołania w polskim języku dodały mi odwagi i pospieszyłem do bramy.

Otworzyłem — widzę kilkunastu jeźdźców: ktoś zapalił świeczkę — patrzę — a to mój rotmistrz Jaszewski!

— Ktoś ty? — pyta mię rotmistrz.

— Kapral Hirsch — mówię.

— Nie kłam! Na własne oczy widzieliśmy, jak padł z konia, cięty przez dragona, koń tylko jego, bez trzęzli na głowie a osiodlany, trzymał się naszej kupy.

Lecz mały Zelesławek Zaborski jak kocie wysunął się z pośrodka przybyłych, podskoczył — ułapiwszy mię za szyję i tak ściskając się i nadując się, popadaliśmy razem na ziemię.

Przybyli, siebie i swoje wierzchowce uporawszy — siana koniom porozdawali.

Furman oprzytomniał, wydobył schowanych

sobie dwie grubych świeczek stearynowych i wnet jasno się zrobiło i gwarno w maziarni.

Oddziałek cały liczył pod komendą naszego starego rotmistrza Jaszewskiego, szesnastu powstańców. Byli to rozbitki z kilku oddziałów, Litwini, Królewiacy, Poznańczycy, Galicjanie, dwóch Włochów i jeden Francuz. Z oddziału Jagmina było nas czteru: rotm. Jaszewski, kapral Hirsch, mały 14-letni Żelesławek Zaborski i Janek, 20-letni tęgi chłopak, a były ogrodniczek z Potorzycy z dóbr Dzieduszyckich.

Godzinę trwała uciecha i ta chwacka biesiada, poczem wszyscy ulokowali się w obszernej maziarni, konie na podwórzu uwiązano do płotów i tak pod ochroną wedet i jednostek nadzoru, usnęliśmy snem błogim.

Ci, którzy odeszli...

BOLESŁAW „LUBICZ" — ZYGMUNT ZAHORSKI, żołnierz i pieśniarz Legjonów, ur. 1885, brał czynny udział w latach walk 1905—06, przeszedł katusze więzienia i wygnania na Sybirze, a po

ucieczce stamtąd, przebywał w Krakowie i Lwowie, uczęszczając na uniwersytet.

Pozatem był jednym z najgorliwszych członków Związku Strzeleckiego.

Był czas, że gdy się nie mógł we Lwowie utrzymać, wyjechał do Borysławia; pracuje tam jako prosty robotnik w kopalni nafty i organizuje kadry strzeleckie.

Z wybuchem wojny wkracza do Królestwa z oddziałem wywiadowczym.

Potem przenosi się do ułanów Beliny, z którymi w patrolach i podjazdach spory szmat Polski przejeżdża. W czasie boju pod Konarami, w maju 1915 r., gdy bataljon za bataljonem wpada w jary sandomierskie, pełne wrzawy bitewnej, Zahorski pozostawia konia, chwyta w garść piechociarski karabin i w czaku ułańskiem, z rabatami czerwonymi na piersi pędzi w ogień z tyraljerą por. Styku-Stachiewicza. Tak samo huraganowy ogień w lipcu tego roku pod Kostiuchniówką nad Styrem wita w pierwszej linji okopów.

Gdy zaś pułki legjonowe odmówiły złożenia przysięgi i zaczęła się robota gorąca w Polskiej Organizacji Wojskowej. Lubicz-Zahorski, stary bojowiec, organizując młodzież i robotników, pisze odezwy przeciw okupantom, wygłasza odczyty. Nie tylko w kraju, lecz spotykamy go na dalekich kresach — stamtąd pochodził — w Kijowie, Mińsku Litewskim...

Gdy Polska powstała, bierze udział w wyprawie wielkanocnej na Wilno. Niedługo otrzymuje szlify oficerskie. Potem pracuje w Oddziele II. Z pierwszymi naszymi oddziałami wpada do Mińska Litewskiego.

Na kilka miesięcy przed śmiercią pożegnał szeregi, by oddać się pracy oświatowej. Wstąpił do bibljoteki publicznej w Warszawie. Prócz pracy w tej instytucji, pisywał wiele. Na wiosnę 1922 r. wskutek wypadku, zginął tragicznie.

Pogrzeb odbył się uroczyście w Warszawie. Trumnę zdobiły wieńce od Naczelnego Wodza: „Por. Lubicz-Zaborskiemu — Naczelny Wódz"; od Towarzystwa im. Piłsudskiego, od P. O. W., od P. P. S., w szeregach której zmarły walczył o niepodległość przed wojną, i wiele innych

Pozostało po śp. Lubiczu, prócz wielu, wielu wierszy i nowel w różnych pismach, piękna książeczka z wierszami wojennymi, wydana w Mińsku w 1919 r. p. t.: „Wiersze Piłsudczyka" i tomik opowiadań p. t.: „Pobojowisko". Przykrem i smutnem jest, że dotychczas nikt nie zdobył się na wydanie wszystkich wierszy i opowiadań Lubicza i nie opisał dokładnie jego życia i czynów.

W zeszytach „Panteonu" Nr. 2 i 32 umieściliśmy dwa wiersze Lubicza, zaś jeden z wielu przepięknych podajemy poniżej:

ULANI BELINY.

Nasz lot jest wichrowy — do Sławy nasz lot!
Krzyk gromki wyrywa się z krtani! —
W czyn wola zakrzepła i spada, jak grot —
Ułani! Beliny ułani!

Przez krew do wskrzeszonej Ojczyzny jest szlak,
Więc mężnie giniemy dziś dla Niej —
Krwi krople zakwitły na polu, jak mak...
Ulani! Beliny ulani!
Bez strojnych mundurów, bez krzyżów i kół,
Wśród smutków jesiennych wiośniani, —
Bitw dawnych, zamierzchłych wskrzeszamy dziś myt
Ulani! Beliny ulani!
Szubienic potworny za nami legł cień —
Ojczyźnie składamy to w dani'..
Krwią zorzę poimy, aż zrodzi się dzień —
Ulani! Beliny ulani!
Nie laurów, lecz zemsty dziś nęci nas zew...
(O trupach serdecznych myśl rani...)
Do broni, ulani! Przez Trud i przez Krew
Do zorzy! Wolności Ulani!

Rajbrot, styczeń 1915 r.

WACŁAW DENHOFF CZARNOCKI

literat, poeta, pieśniarz Legjonów, podporucznik I Brygady Leg' Pol., Komendant okręgu P. O. W.

w Lublinie, Obrońca Lwowa, kapitan W. P., odznaczony 4-krotnie Krzyżem Walecznych zmarł dnia 11 kwietnia 1927 w Bydgoszczy w 32. roku życia.

Należał do tych, którzy ideją swą dali Legjonom tę piękną i wielką legendę, która przetrwa wieki. Licząc lat 19, wszedł do Legjonów, służył w ułanach; z powodu wątłego zdrowia przeszedł do służby pozafrontowej.

Z wielkiego skarbca jego pieśni umieszczamy jedną, małą, mniej znaną — a w owych czasach tyle mówiącą. Napisał ją w 1915 r. na wiosnę.

PIOSENKA O GAŁĄZCE BZOWEJ.

Zakwitnęła gałązeczka bzowa,
Chociaż zima jeszcze gości w sadzie,
Chociaż śnieg się na drzewinach kładzie
I w okiściach czerń badylów chowa.

Czemużeś ty nie czekała wiosny,
Gołąbeczko liljowego kwiatu.
Pocałunkiem śniegowego płatu
Zwarzy ciebie siwy mróz zazdrosny.

Nie dbam o to, jak się czas odmierza,
I czy wiosna zmogła już zamiecie;
Kwitnę, bowiem drobne moje kwiecie,
To jedyna radość dla żołnierza.

BOGUSŁAW SZUL - SKÖLDKRON.

Dnia 27 maja 1920 r. zginął pod Czetwertynówką na Bohem śmiercią bohaterską major sztabu gen. *Bogusław Szul-Sköldkron*, jako dowódca

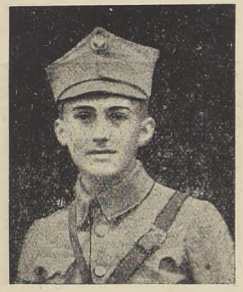

grupy, jeden z najdzielniejszych oficerów naszej armji i pieśniarz Legjonów i Wojska Polskiego.

Śp. major Sköldkron uderzył z dwiema kompanjami i jednym szwadronem strzelców konnych na wieś Czetwertynówkę. Tu napotkał na silny opór ze strony nieprzyjeciela, potem silny kontratak. Chcąc za wszelką cenę zdobyć wzgórze koło Czetwertynówki, ruszył major Szul powtórnie do ataku, idąc z karabinem w ręku w tyralerce.

Tyraljera zniknęła we wsi, po jakimś czasie jednak zaczęła się wycofywać, gdy wtem przybiegł chłop z tej wsi, wołając: „Wasz komandyr ranny pod stodołoju leżyt! Wozmite jeho, bo popade w plen bolszewikow".

Na to ruszyło na ochotnika dwóch strzelców konnych, a mianowicie kapral Woźnicki i patr. Maciejewski galopem do Czetwertynówki, zajętej już częściowo przez bolszewików, i po chwili wywieźli przewieszonego na koniu ciężko w głowę i brzuch rannego majora Szula, podczas gdy reszta szwadronu kryła ich odwrót ogniem karabinowym. Major Szul-Sköldkron został przewieziony do Tulczyna, w drodze jednak zakończył życie. Zwłoki ś. p. majora Szula-Sköldkrona zostały chwilowo złożone na cmentarzu w Tulczynie.

Śp. mjr. Szul wyszedł z II Brygadą w pole; początkowo był adjutantem płk. J. Hallera, później dowódcą 4-ej komp. w 3 pp. Leg.

Przeszedł Rarańeżę i Kaniów, a po rozbiciu II Korpusu, ukrywał się w Kijowie, gdzie uzupełnił zbiór piosenek i melodyj, poczem przewiózł je przez Moskwę i Murman do Archangielska, a stąd do Francji, gdzie je przygotował do druku.

Po przybyciu do kraju, wydał śpiewnik ten w Krakowie. W „Panteonie" kilkakrotnie umieściliśmy wiersze B. Szula, a to w zeszytach 8 i 62. W relacji p. W. Matkowskiego, obecnie drukowanej w „Panteonie", często spotkamy się jeszcze z czynami śp. Szula z czasów legjonowych.

WŁADYSŁAW ORKAN (Franc. Smreczyński)

Świetny pisarz i poeta, syn Podhala — któremu, obok Tetmajera — większą część swych dzieł poświęcił, laureat nagrody literackiej Warszawy z 1930 r. — legjonista-czwartak, zmarł dnia 15 ma-

ja 1930 r. w 54 roku życia w Krakowie, dokąd przybył na krótki czas ze swej rodzinnej wioski Wielkiej Poręby obok Nowego Targu, na Podhalu.

Legjonom poświęcił Orkan wiele pieśni, opowieści i artykułów w różnych pismach: spisał wspomnienia swe p. t. *„Drogą czwartaków od Ostrowca na Litwę 1915 r."*, wydane w 1916 r., w których barwnie przedstawił dzieje czwartego pułku p. leg. w tym okresie.

W kampanji tej brał udział jako oficer, przydzielony do sztabu pułku. Pozatem w tych czasach wydał, prócz wielu innych, *„Piosnkę strzelecką"* i *„Marsz strzelców"*, a także *„Pieśni czasu"*.

Był jednym z serdecznych i miłych towarzyszy broni, a opowieściami swemi o Podhalu — jakby bajkami czarownemi — prowadził nas ku *Tej*, którą chciał widzieć wolną i niepodległą, opartą na ludzi z pod Giewontu i Czarnego Dunajca po Spiż i Orawę.

On to przy akompanjamencie Galicy, Gwiżdża i tylu innych Podhalan, pułkowi naszemu nadawał charakter „góralski" i poza opowiadaniami i śpiewami o „Janosiku" i pięknych górach, marzył o tem, by stolica Polski u stóp Tatr się rozłożyła, bezpieczna i spokojna, utulona górami i rzekami — zdala od gwaru i nerwów wielkiego miasta i ludzi.

Tych słów kilka — poświęconych również *pieśniarzowi Legjonów* — na wieść o Jego zgonie zamieszczamy w „Panteonie" tuż przed zamknięciem numeru i żegnamy Go naszem:

„Spij Kolego w ciemnym grobie".

Od Redakcji.

BIBLJOGRAFICZNE ZESTAWIENIE artykułów i ilustracyj roczników 1924—1929 „Panteonu Polskiego" (str. 43) — wyszło w osobnej odbitce. Wytłoczono 250 egz., z tych 200 numerowanych. Cena 2.50 zł. Do nabycia w księgarniach i w administracji „Panteonu".

Niewiele jest kompletów „Panteonu", gdyż nie każdy prenumeruje od 1-go zeszytu, administracja nie posiada również kompletów — przeto spis artykułów, wydany w osobnej odbitce, może być podręcznikiem dla szukających źródeł, dotyczących kroniki walk o niepodległość, Legjonów, Formacyj polskich, P. O. W., Obrony Lwowa, Wojska Polskiego i Józefa Piłsudskiego. Pozatem znajduje się tam spis kilkuset poległych, którym „Panteon" poświęcił większą wzmiankę.

„Bibljograficzne Zestawienie" — znaleźć się powinno w każdej bibljotece.

„KOMENDANT PODZIEMNEJ WARSZAWY" opuści wnet prasę. Dla zamawiających już teraz — cena 3 zł.

WZYWAMY czytelników naszych do wyrównania należytości za I i II kwartał 1930 r.

Przykro nam tyle razy upominać się o to, tem więcej, że ktoś — kiedyś, po latach — przeglądając te zapiski — nie będzie mieć dobrego wyobrażenia o naszych dzisiejszych stosunkach, widząc nasze zmagania się i brak zrozumienia ze strony wielu (na szczęście nie wszystkich) naszych czytelników.

Sprostowanie. W zeszycie 67, przy łamaniu pierwszej kolumny — zaszła omyłka drukarska. Ostatni wiersz pierwszej szpalty należy do pierwszego wierzsa drugiej szpalty pod ilustracją.

REDAKTOR ODPOWIEDZ. Z. ZYGMUNTOWICZ. ADR. RED. I ADM. LWÓW. SKRYTKA 98 — TEL. 22.90.
KLISZE WYKONANO W ZAKŁ. CYNKO-GRAF. „ARS", SYKSTUSKA 32. — DRUK. „SZTUKA", PLAC STRZELECKI 2.